

o. Wenanty Katarzyniec – człowiek modlitwy

o. Cecylian Niezgoda

7 października 1889 roku przyszedł na świat chłopiec, który w pięć dni później, w kościele parafialnym w Kamionce Strumiłowej otrzymał chrzest święty i imię Józef. Już od najmłodszych lat dziwił on wszystkich nadzwyczajnym spokojem.

Od jesieni 1896 roku chodził przez dwa lata do miejscowej szkoły, którą ukończył przygotowaniem do pierwszej Komunii św. W trakcie tego przygotowania po raz pierwszy zwierzył się rodzicom, że pragnie zostać księdzem.

Następnym etapem do tego celu było uczęszczanie na dalszą naukę do 5-klasowej szkoły w Kamionce Starej, odległej o 4 kilometry. Ukończył ją w czerwcu 1903 roku. Ubóstwo rodziców nie pozwalało na wysłanie go do gimnazjum we Lwowie. Zdecydowali, że pójdzie do szkoły wydziałowej w Radziechowie (25 km od Obydowa), a potem do seminarium nauczycielskiego.

Od września 1904 roku Józef Katarzyniec mieszka we Lwowie w internacie im. Grzegorza Piramowicza i studiuje w seminarium nauczycielskim męskim. Uczy się doskonale, ale cierpi wielką biedę. W lutym 1907 roku przechodzi jakiś głęboki kryzys, co odbiło się na wynikach jego nauki - uzyskiwał oceny zaledwie średnie.

Zdał jednak maturę i nadspodziewanie dobrze opanował język łaciński. Mimo oporu rodziców, którym marzyła się kariera nauczycielska syna samodzielnie zdecydował o swym powołaniu.

Pod koniec sierpnia 1908 roku rozpoczął u franciszkanów we Lwowie próbę życia zakonnego - nowicjat, jako brat Wenanty. Otworzyła mu się droga do wymarzonego kapłaństwa.

Po złożeniu pierwszych ślubów zakonnych br. Wenanty we wrześniu 1909 roku wyjechał do Krakowa - do studium filozoficzno-teologicznego franciszkanów, na które uczęszczali także klerycy zakonu kapucynów, karmelitów i paulinów. Ówczesne studium seminaryjne trwało pięć lat. Ukończył je otrzymaniem święceń kapłańskich 2 czerwca 1914 roku, w sanktuarium Matki Bożej Bolesnej, z rąk biskupa Anatola Nowaka, sufragana w Krakowie.

Prymicje kapłańskie o. Wenantego w Kamionce Strumiłowej zbiegły się z wybuchem pierwszej wojny światowej i wkroczeniem armii rosyjskiej na tereny wschodniej Galicji.

Pierwsza samodzielna placówka o. Wenantego to Czyszki koło Lwowa, stara parafia franciszkańska - od 1420 roku. Z wielkim zapałem poświęcał się spowiadaniu parafian, zaopatrywaniu chorych i głoszeniu kazań oraz katechizacji dzieci w kościele, jako że szkoły zostały zamknięte. Zasłużył na liczne pochwały i powszechne uznanie, zwłaszcza za miłe i pokorne odnoszenie się do wszystkich i za kazania.

23 sierpnia 1915 roku prowincjał Marian Sobolewski powierzył o. Wenantemu bardzo odpowiedzialne zadanie - prowadzenie nowicjatu zakonnego. Na tym stanowisku mógł on wykorzystać swoje przygotowanie pedagogiczne nabyte w seminarium nauczycielskim. Praktyka wykazała, że był dla alumnów doskonałym mistrzem. M.in. jego wychowankiem był brat św. Maksymiliana - Alfons Kolbe, który później zauważył: „Wmawiał w nas więcej dobroci i cnoty, niż czuliśmy w sobie”.

Za opis jego życia i prac na stanowisku mistrza nowicjatu niech wystarczą dwie wypowiedzi świadków. O. Henryk Górczany zeznał: „Gdy polecono mi go zastąpić, przekonałem się, jak bardzo pracował. Prócz ćwiczeń duchownych i innych zajęć wspólnych, magister musiał uczyć kleryków nie tylko reguły, konstytucji, liturgii, brewiarza, ale jeszcze z każdym osobno musiał przerabiać jakąś klasę gimnazjalną”, bo prowincjał Sobolewski przyjmował do zakonu kandydatów z różnych klas i z różnych zakładów naukowych.

Natomiast prowincjał Alojzy Karwacki, który w sierpniu 1920 roku wycofał o. Wenantego ze Lwowa do Kalwarii Paławskiej, zapisał: „Dla zakonu naszego wielka szkoda, że o. Wenanty został magistrem w czasach wojennych, kiedyśmy bardzo mało mieli młodzieży, a wkrótce, gdy ta liczba się wzmożła, on już nie był zdolny prowadzić nowicjatu. Młodziutki bowiem ten kapłan w piersiach swoich nosił zaród choroby, która go trawiła, ale on ją ukrywał, póki było to możliwe. Chciał pracować, chciał do śmierci służyć zakonowi, ale sił coraz mniej w nim było. W końcu (w 1920 r.) do tego stopnia osłabł, że musiał opuścić nowicjat, przeniesiony na Kalwarię Paławską”.

W czasie tego ostatniego pobytu na Kalwarii korespondował z o. Maksymilianem Kolbem, popierając go w jego akcji organizowania Rycerstwa Niepokalanej i w zamiarze drukowania czasopisma Maryjnego. Obiecał mu współpracę. Jeszcze 27 marca 1921 roku, na Wielkanoc, wstał i podyktował list do matki, zapewniając ją, że „wkrótce odzyska zdrowie”. Ale pod wieczór 31 marca, spokojnie i ufnie, zakończył życie. Pochowano go 2 kwietnia na miejscowym cmentarzu, przy udziale prawie wszystkich parafian kalwaryjskich.

SYLWETKA DUCHOWO-MORALNA

Przede wszystkim był człowiekiem modlitwy i to od samego wczesnego dzieciństwa. Na pastwisko wiejskie wniósł inny świat, bo zamiast brać udział w zabawach rówieśników, wolał strugać krzyżyki z drewna, a najczęściej modlił się na różańcu. Przewodził dzieciom w śpiewaniu pobożnych pieśni, które umiał na pamięć.

Kiedy w Kamionce Strumiłowej został ministrantem, szczególnie często przystępował do Komunii Św., po drodze nawiedzając kapliczkę w Jagonii. Nadto u siebie w domu organizował nabożeństwa, wciągając do udziału w nich innych chłopców, z powodu czego ludzie zwali go „księżunio Katarzyńców”.

W nowicjacie i w seminarium jego modlitwa miała cechy kontemplacji: Kiedy wchodził do kaplicy, to jakby zapominał o świecie, który go otaczał. Nikogo nie dostrzegał, na nic nie zwracał uwagi, ale klękawszy na swym stałym miejscu, ręce składał na krzyż pod kapturem i tak trwał do końca modlitwy. Nie opierał się przy tym o ławkę, ale unikając wszelkiej wygody klęczał przed Bogiem w wielkim „zewnątrznym ułożeniu i skupieniu”.

Podczas wakacji w Kalwarii Paławskiej, gdy powracał do klasztoru z dłuższej przechadzki, nie zważając, że inni klerycy odpoczywali, szedł na balkon kościelny w pobliżu wielkiego ołtarza i tam spędzał długie chwile, adorując Najświętszy Sakrament.

Ten zapał modlitewny wykazywał jako młody kapłan w Czystkach. Szybko zauważono, że pilnie adoruje Najświętszy Sakrament, że często modli się przed Ukrzyżowanym, że ma wielkie nabożeństwo do Męki Pańskiej. Nic dziwnego, że nazywano go „nasz święty ksiądz”. We Lwowie bardzo często odprawiał w kościele Drogę Krzyżową z wiernymi, bądź prywatnie, przewodniczył w Gorzkich Żalach...

Kiedy w ostatnim miesiącu życia, w połowie marca, musiał zaprzestać odmawiania brewiarza, od tej chwili nie wypuścił z rąk różańca. Jak żył modlitwą, tak i umarł w modlitwie, bowiem przygotował się na swe spotkanie z Bogiem przez przyjęcie sakramentów świętych, absolucji generalnej i odpustu zupełnego. W ostatnim dniu rano przyjął Komunię świętą, odtąd był niezmiennie poważny i głęboko skupiony, modląc się bez przerwy. Z modlitwy na ziemi przeszedł do modlitwy w niebie.

O. Wenanty to człowiek krzyża, uświęcający się przez ubóstwo i cierpienie. Dźwigał krzyż biedy materialnej, zwłaszcza w domu rodzinnym i we lwowskim seminarium nauczycielskim. „Sam

sobie wystarczał, z domu prawie nic nie miał. Nigdy nikogo o pomoc nie prosił, nawet księdza. Zadowalał się tym, co mu Pan Bóg dawał. Nie narzucał się nikomu. Nikt o jego biedzie nie wiedział”.

Pisał w listach do rodziców: „Jeżeli macie pieniądze, to przyślijcie, a jeśli nie macie, to ja pójdę piechotą do domu”. I najczęściej szedł owe 46 km ze Lwowa do Obydowa pieszo, bo nie miał nawet trzydziestu centów na przygodną furmankę.

Jak głęboko i dobrowolnie pojmował swoje ubóstwo świadczy jego rekolekcyjne postanowienie nowicjackie: „Wyrzeknę się wszystkiego, choćby mi to nie wiem jak drogie było, jeśli mi przeszkadza w zbawieniu duszy”.

Imię zakonne, jakie otrzymał przy obłóczynach - Wenanty, stało się mu imieniem symbolicznym i proroczym: „Będiesz odtąd nazywał się Wenanty. Masz za patrona Męczennika. Daj Boże, byś był tak mężny w życiu, jak męczennicy bywali w śmierci”.

Już w nowicjacie wszedł w głębokie, wręcz mistyczne pojmowanie cierpienia, skoro przy lekturze biskupa Bougauda zanotował, że u ludzi nie doznających nigdy cierpienia umysł jest pospolity, a dobroć płytka. Cierpienie stwarza bohaterów i świętych. Święci dlatego zostali świętymi, że umieli cierpieć z własnej i Bożej woli. Serce i twarz pięknieją w cierpieniu. Drogę krzyża uważał za drogę królewską, ostrzegając za Tomaszem a Kempis: „Jeśli cierpieć nie chcesz, wzbranasz się być koronowanym”.

Otoczenie rychło zauważyło u niego ową miłość krzyża, realizowaną w umartwieniu, choćby przez to, że nigdy nie utyskiwał na niedogodności i braki, a równocześnie był niezmordowanie pracowity. O. Marian Sobolewski, jako jego magister w Krakowie wyróżniał go pod tym względem, nazywając go zawsze „Venantius martyr - Wenanty męczennik”.

Jego asceza krzyża miała odbicie duszpastersko-apostolskie. Takim typowym przypadkiem było jego dobrowolne i nadobowiązkowe posługiwanie w zakładzie dla starców i nieuleczalnie chorych we Lwowie przy ul. Kurkowej, prowadzonym przez siostry Józefitki. Świadczą o tym relacje sióstr, z których przytaczamy tu dwie. Oto pierwsza: „Przychodził chętnie, aby spowiadać zamieszkałą w naszym przytułku nieszczęsną Marię Turkiewicz. Cała twarz tej chorej toczona była przez raka, zmasakrowana strasznie, bez nosa..., oczy jak szpareczki..., usta zaciśnięte..., ręce z ognistymi palcami... Samo wyobrażenie budzi już grozę, a cóż dopiero widok taki i długa rozmowa podczas słuchania spowiedzi. I druga relacja: „Jedna chora swym nudziarstwem wyprowadzała z równowagi całe otoczenie. O. Wenanty i ją spowiadał, a nie zniecierpliwiał się nigdy...” Ta posługa w zakładzie sióstr Józefitek trwała przez kilka lat.

Swoją ostatnią ciężką chorobę - gruźlicę znosił w klasztorze Kalwarii Paclawskiej zachowując wielki spokój i ufność. Wszakże pod koniec życia, przez trzy dni doznawał „ogrójcowych lęków” przed zbliżającą się śmiercią. Sięgnął zdaje się, mistycznego dna w doświadczeniu krzyża. Dopiero na dwa dni przed swym odejściem, po otrzymaniu z rąk swego przełożonego odpustu na godzinę śmierci, o który sam poprosił, odzyskał całkowity spokój. Mógł powtórzyć za Ukrzyżowanym, którego zawsze miał przed oczyma: „Wykonało się! W ręce Twoje powierzam ducha mego!”

Wśród innych duchowych przedmiotów o. Wenantego zastanawia to, że wybrał zwyczajną drogę do świętości poprzez ogromną pracowitość i wierność w małych rzeczach tak, iż św. Maksymilian wyraził się o nim, że „czyny zwyczajne wykonywał nadzwyczajnie”. Nie znosił roboty byle jakiej, jego praca musiała być solidna, wręcz doskonała, jako że była wyrazem miłości. Dlatego, jak pamiętamy, w ciągu jednego roku w klasie maturalnej lepiej opanował język łaciński, aniżeli inni przez całe gimnazjum; dlatego podejmował się prac nadobowiązkowych, np. studiowania języka włoskiego, by móc czytać literaturę włoską, zwłaszcza dotyczącą historii,

teologii i duchowości franciszkańskiej; dlatego prywatnie zgłębiał historię filozofii, której wówczas nie było w programie studiów seminaryjnych; dlatego czytał dziesiątki książek w różnych językach i robił z nich notatki, które szczęśliwie się zachowały. I tak np. w ciągu roku nowicjatu zrobił wypisy z 37 książek, a była to lektura poważna.

Jako kapłan nigdy nie poprzestawał na wykonywaniu zajęć obowiązkowych, ale zawsze korzystał ze sposobności, by również wtedy gdy się tego nie spodziewano, śpieszyć ludziom z pomocą jedynie z miłości, jak np. z ową posługą chorym w zakładzie sióstr Józefitek, czy z dokształcaniem kleryków z poszczególnych przedmiotów gimnazjalnych... Najwięcej pracy poświęcał posłudze miłosierdzia w konfesjonale - od pierwszych dni kapłaństwa, aż do ostatniej ciężkiej choroby. I tak np. 13 czerwca 1920 roku, we Lwowie, w uroczystości św. Antoniego z Padwy, pomimo poważnego pogorszenia się stanu zdrowia, spowiadał przez cały dzień. Nazajutrz był tak wyczerpany, że nawet pilnego listu do Maksymiliana Kolbego nie mógł napisać; podyktował go nowicjuszowi. Wtedy też po raz pierwszy wyraźnie wspomniął o możliwości swej rychłej śmierci. Wszakże dla niego śmierć oznaczała szczęście wieczne, stąd zapewne ostatnie kazania, jakie wygłosił, poświęcił wizji nieba.

Kiedy św. Maksymilian Kolbe pisał do swego brata Alfonsa: „Ludzie świeccy mają nieraz najdziwniejsze pojęcia o tym, co się dzieje za furta klasztorną, a i nie brak takich, którzy myślą, że w praktyce zakonnicy nie zachowują tego, co im przepisy nakazują, bo to jest niemożliwe”. Otóż o. Wenanty Katarzyniec jest znakomitym przykładem zakonnika i kapłana, który w całej rozciągłości dowodzi zgodności swego życia z regułą i konstytucjami zakonu.

Wierność obowiązkom to jego droga świętości. Tej drogi uczył swych wychowanków: „Zachowujcie konstytucje! Nad to nic lepszego nie ma. To rzecz naturalna, tak że po prostu nie potrzebuje żadnego uzasadnienia. Zakonnik nie zachowujący przepisów swojego instytutu to zły zakonnik, nie odpowiadający swojemu celowi. I cóż on wart? Tyle, co rzemieślnik zły, co krawiec partacz - nie umiejący swego rzemiosła”.

Człowiekiem, który najmocniej wierzył w świętość o. Wenantego Katarzyńca i który najwięcej przyczynił się do rozpowszechnienia zainteresowania jego postacią był jego współbrat zakonny i przyjaciel - Maksymilian Kolbe. Wierzył w to, że o. Wenanty zostanie wyniesiony na ołtarze. Pierwsze kroki ku temu zostały poczynione wkrótce po wojnie - w kurii Przemyskiej przeprowadzono mianowicie jego proces informacyjny, popierając zeznania świadków ponad 300 łaskami otrzymanymi przez czcicieli za jego pośrednictwem. Zastanawia, że pierwszym, który mu polecał swoje trudne sprawy i zawsze zostawał wysłuchany był właśnie sam Maksymilian Kolbe.

Po przeprowadzeniu procesu na szczeblu diecezjalnym, dokonano w roku 1950 przeniesienia ciała Sługi Bożego z cmentarza na krużganek kościoła klasztornego w Kalwarii Paclawskiej, w miejsce, skąd głosił swoje ostatnie kazanie - a było to kazanie o niebie.

O. Wenanty, ten cichy pracownik Chrystusowy, zda się w dalszym ciągu spełniać swoją misję wychowawczą, jako że przed kilkoma laty przy klasztorze w Kalwarii Paclawskiej, a więc u grobu Sługi Bożego, franciszkanie krakowscy założyli swój nowicjat zakonny.

Nieżgoda C., *O. Wenanty Katarzyniec - człowiek modlitwy*, Wiara i odpowiedzialność, 2(1987), s. 21-26.